

eleWator

kwartalnik literacko-kulturalny
nr 13 (3/2015) – lipiec/wrzesień 2015
ISSN 2299-5692
copyright © eleWator, Szczecin 2015

redagują:

Marcin Bałczewski (komiks), Andrzej Fogtt (sztuki plastyczne),
Krzysztof Lichtblau (sekretarz redakcji), Paweł Nowakowski (proza),
Paweł Orzeł (film, redaktor naczelny), Karol Samsel (eseje i szkice),
Kamil Sipowicz (muzyka), Leszek Szaruga (krytyka literacka,
zastępca redaktora naczelnego), Adam Wiedemann (poezja)

stali współpracownicy:

Edward Balcerzan (Poznań), Łeś Belej (Kijów),
Izabela Fietkiewicz-Paszek (Kalisz), Anna Frajlich (Nowy Jork),
Krzysztof Hoffmann (Poznań), Artur Daniel Liskowacki (Szczecin),
Beata Patrycja Klary (Gorzów Wielkopolski), Monika Petryczko (Szczecin),
Małgorzata Południak (Dublin), Andrzej Turczyński (Koszalin),
Andrzej Wasilewski (Paryż), Tadeusz Zubiński (Ryga, Benicarló)

redakcja techniczna: Iwona Kępisty; korekta: Anna Borowicka i Anna Nowakowska
grafika na okładce wg autoportretu Mieczysława Piotrowskiego
grafika z tyłu okładki: Anna Monika Koźbiel
grafiki w numerze: Mieczysław Piotrowski
zdjęcie na 216 stronie: Andrzej Łazowski (www.lazowski.eu)

redakcja i wydawca: Fundacja Literatury imienia Henryka Berezy
adres do korespondencji: 71-141 Szczecin, skrytka pocztowa nr 39
siedziba: 71-246 Szczecin, ul. Eugeniusza Romera 10e
www.elewator.org / pnowakowski@elewator.org
www.fundacja-berezy.org / biuro@fundacja-berezy.org

Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów, skracania
oraz redagowania tekstów, o ile nie wypacza to sensu oryginału.

druk: KAdruk, Szczecin

publikacja współfinansowana ze środków Miasta Szczecin
oraz Stowarzyszenia Gmin Polskich Euroregionu Pomerania
dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

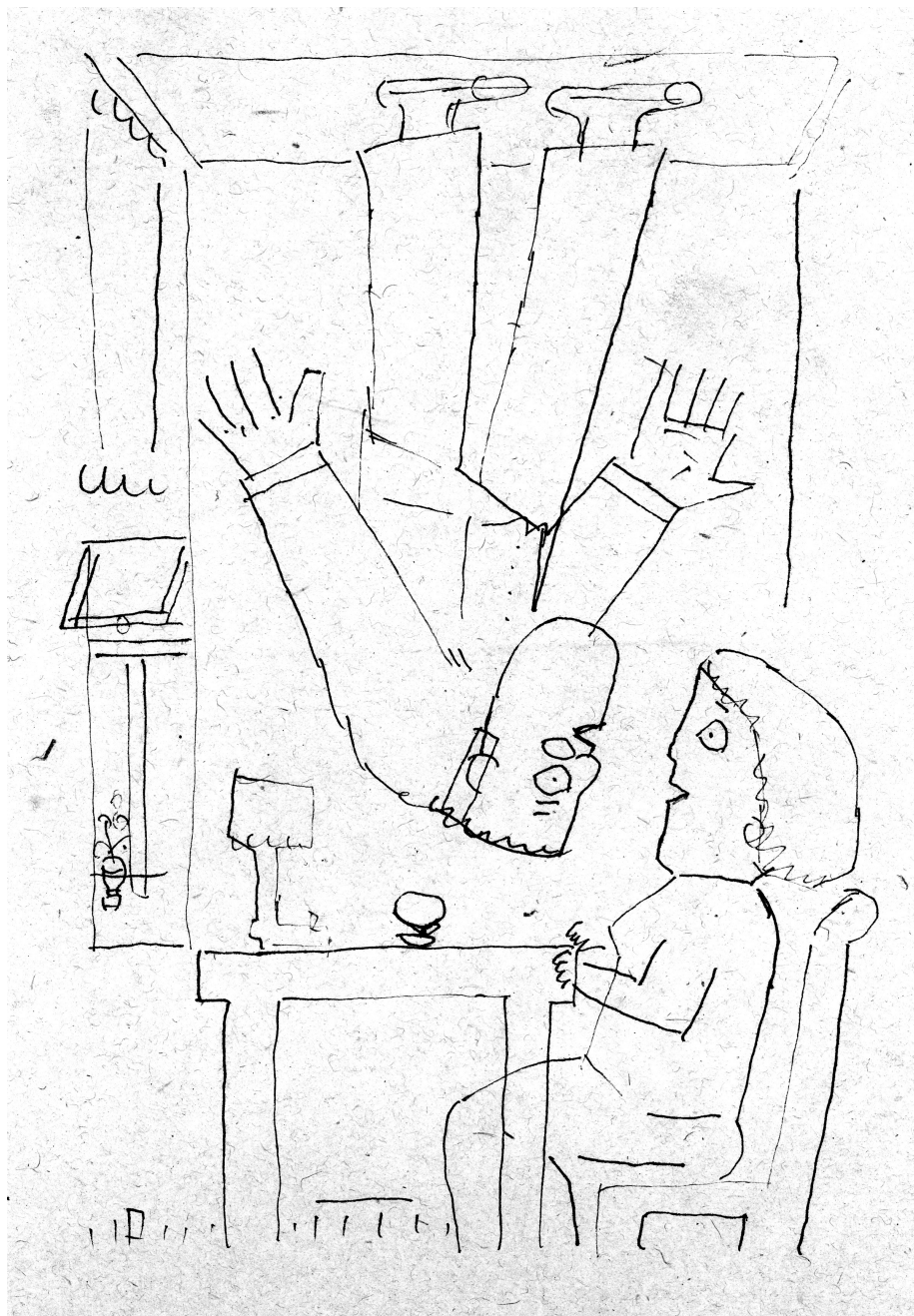


Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



intro	5	Samantha Kitsch, Śmierć motyla
Mieczysław Piotrowski	6	Andrzej Szpindler, Chemikaliowiec potrzebuje 1 chwili, bo piramida z beczek urodziła kij
	23	Natalia Ambroziak, O oczach, które dostają ciało i dają nogę. Cztery sekundy rzeczywistego widzenia w półświatku alfon-sów, pokojówek, handlarzy i kalek
	47	Natalia Suszczyńska, Cleverbot
	50	Szymon Szwarc, Symfonia zerwanych wątków w Złotym roba-ku Mieczysława Piotrowskiego. Czyli o czasie i przeszkadza-jących mu ludziach
	60	Irena Laskowska, opowiada
	64	Tadeusz Koczanowicz, Czerwona piłka i estetyka egzystencji. Horyzont moralny w dramatach Mieczysława Piotrowskiego
	67	Łukasz Krajewski, Hojne żrenice nędzarza. Kilka uwag o twór-czości Mieczysława Piotrowskiego
	74	Krystyna Zabawa, Ruch, rytm, radość rysowania (opowiadania) różności. O książkach dziecięcych Mieczysława Piotrowskiego
	80	Adam Wiedemann, O rysunkach Miecia
	83	Rafał Skonieczny, Sekwencja
	98	Zbigniew Machej, Czytanie Czterech sekund
	107	Mieczysław Piotrowski, Okolica
poezja	124	Paweł Tański, punkty zamienne, idę ulicą dekerta, głośno szumi oko, pola popielnicowe, jasne błękitne okna
	126	Mirosław Mrozek, Wegetacja, Echolokacja, Wada, nauczycielu zły, szachy, kłosy puste
wywiad	128	Liberatura. Próba wiary, że wszystko ma sens. Z Zenonem Fajferem rozmawiają: Maja Staśko i Dawid Gostyński
poezja	136	Zenon Fajfer, Epitafium, Poświata, Zapragnał, Znad rzeki
dziennik	138	Jarosław Błahy, Lustrianizm (06.06.2014, 09.09.2014, 27.01.2015)
	144	Bogusław Kierc, Karawadźje
z Ciężkowic	150	Waldemar Bawolek, Święty Hieronimie, zmiłuj się nade mną

krytyka literacka	152	Ewelina Chodakowska, Ostrowska Totalna (Eda Ostrowska, <i>Edessy</i>)
	154	Przemysław Kuliński, 33 wiersze o wódce, papierosach i ojcostwie (Marcin Zegadło, <i>Cały w słońcu</i>)
	155	Marek Olszewski, Cicha symfonia Ja (Julia Szychowiak, <i>Intro</i>)
	157	Wiktoria Klera, Nić i ziarno (Edward Pasewicz, <i>Och, mitochondria</i>)
	160	Anna Kokot, Za progiem wświatowstąpienia (Łucja Dudzińska, <i>MeMbrana. Cyrkulacje</i>)
	163	Paweł Jasnowski, W soczewce języka (John Banville, <i>Prawo do światła</i>)
	165	Maja Staško, Toto to ty (Małgorzata Gwiazda-Elmerych, <i>Toto</i>)
	170	Mieczysław Orski, Unde malun?... Taki naród (Hubert Klimko-Do-brzaniecki, <i>Preparator</i>)
	172	Leszek Szaruga, Pro / za i przeciw. 7 (Mykoła Riabczuk, <i>Ukraina. Syndrom postkolonialny</i> ; Max Kidruk, <i>Ja, Ukrainiec</i> ; Jewhen Mała-niuk, Jerzy Giedroyc, <i>Listy 1948-1963</i>)
	175	Beata Patrycja Klary, Odkrywać prawdę z Susan Sontag (Susan Sontag, <i>Pod znakiem Saturna</i>)
	177	Konrad Zych, Teatr z widokiem na sąd (Bogusław Kierc, <i>Cię-mność</i>)
	180	Agata Balsamo, Kaprysy Melpomeny (Piotr Kitrasiewicz, <i>Apetyt na Melpomenę</i>)
	182	Alan Sasinowski, Beka z literatury polskiej po 1989 roku (Konrad C. Kęder, <i>Tania jatka. Życie literackie na przełomie tysiącleci</i>)
	184	Józef Krzyżanowski, Dzieło niedokończzone (Maria Jentys-Borelow-ska, <i>Ogrody zamyśleń, marzeń i symboli. Rzecz o Janie Drzeżdżonie</i>)
	189	Paweł Orzeł, Przed wojną: Nowy początek ludzkości (Upton Sinclair, <i>Kataklizm w roku 2000-ym</i>)
	195	nadesłano
komiks	196	Krzysztof Lichtblau, Móc wreszcie zrozumieć komiks (Scott McCloud, <i>Zrozumieć komiks</i>)
	198	Marcin Bałczewski, Miłość pomiędzy złem i złem (Miriam Katin, <i>Skazane na siebie. Pamiętnik Miriam Katin</i>)
muzyka	200	Monika Petryczko, Światowa płyta, światowy jazz (Wojtek Mazolewski Quintet, <i>Polka</i>)
	201	Adam Mańkowski, Poszerzony język perkusyjny (Adam Gołębiowski, <i>Pool North</i>)
stałe felietony	204	„esoesy” – ADL, Drugie
	206	„poza mainstreamem” – Izabela Fietkiewicz-Paszek, Pomiędzy jednym wynurzeniem a drugim, czyli Ciemnia Natalii de Barbaro
	208	„w swoim tempie” – Krzysztof Hoffmann, Między zgrywami
	210	„dlaczego nie jestem malarzem” – Małgorzata Południak, Tonizacja i orzeźwienie
	212	„bez przesady” – Edward Balcerzan, Schwytny anioł
	215	Konkurs Literacki imienia Henryka Berezy „Czytane w maszynopisie”, Edycja 3, 2015 – nominacje
	215	VIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „Refleksy”



Mieczysław Piotrowski, „Rozmowa zasadnicza”

Mieczysław Piotrowski (ur. 5 maja 1910 r., zm. 8 grudnia 1977 r.) – pisarz, autor scenariuszy filmowych (*Mężczyźni na wyspie*, *Dziewczyna z dobrego domu*) i książek dla dzieci; autor rysunków satyrycznych oraz ilustracji książkowych; wykładowca i rektor Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi; mąż Ireny Laskowskiej. Rysował dla czasopism: „Cyrulik Warszawski”, „Kultura”, „Literatura”, „Mucha”, „Pobudka”, „Różgi”, „Szpilki” oraz „Wróble na Dachy”. Wydał powieści: *Ogrodnicy* (1956), *Złoty robak* (1968), *Plecami przy ścianie* (1970), *Cztery sekundy* (1976); zbiór opowiadań: *Podróż Arysty przez Lotaryngię* (1976); zbiór rysunków: *Ja Pana nie przerobię* (1985); książki dla dzieci: *Ballada o Dentyście* (1966), *Szare uszko. Czy to jest opowieść obrazkowa?* (1976), *Grzyby galopują na koniach* (1977).

Samantha Kitsch

Śmierć motyla

W ogrodzie botanicznym obserwowałem śmierć motyla:
paź królowej, już nie jasnożółty, tylko szarobiały, wyblakły,
próbował usiąść na liliowym astrze – i nie umiał,
nie trafiał, ześlizgiwał się z płatków, z liści,
zapadał się w rośliny, tonął.

Trzepiąc bezładnie skrzydłami opadł na ziemię, na dno –
i wydawało się, że tam zostanie. Nagle, zdumiewająco,
wciąż bezładnie trzepiąc skrzydłami,
wyfrunął tunelem wśród łądyg ponad grządkę,
a tam poderwał go wiatr i poniósł nad żywopłot,
nad mur, poza ogród, do dzikiej, niezagospodarowanej części parku.

Chłodno, jak na wczesny sierpień, 25 stopni Celsjusza, słonecznie,
intensywny jasny błękit, intensywna głęboka zieleń,
piękny dzień, aby umrzeć, piękny dzień, aby nie umierać.

Andrzej Szpindler

Chemikaliowiec potrzebuje 1 chwili, bo piramida z beczek urodziła kij

Proszę sobie wyobrazić, co da się przeczytać w *Nagim Lunchu* Williama Burroughsa: „Mój znajomy psychoanalityk mówi przez cały czas do pacjentów, którzy cierpliwie go słuchają albo nie... Snuje wspomnienia... Opowiada sprośne kawały (z brodą), dochodzi do szczytów idiotyzmu, o jakich prezesowi sądu nawet się nie śniło... Udowadnia w ten sposób, że na poziomie słownym nie da się niczego osiągnąć... Doszedł do tej metody, zauważywszy, że słuchacz – psychoanalityk – nie czyta w myślach pacjenta... To pacjent – mówiący – czyta w myślach psychoanalityka... Pacjent ma nadnaturalną świadomość jego snów i zamiarów, gdy tymczasem analityk porozumiewa się z pacjentem wyłącznie przodomózgowie... Metodą tą posługuje się wielu agentów: są nadętymi nudziarzami i kiepskimi słuchaczami...”.

Zaznaczam, że polszczyzna tłumaczenia, z którym tu obcujemy, pochodzi od anonimowego informatora. Tłumacz się nie przedstawił, a jego dzieło wisiało, swego czasu, całe w emocjach i gotujące się do ściągania go przez wzorowego internautę, śmigającego na BMX-ie gazeciarza lub poniesionego gadżetowymi wołami tandeciarza. Więc wisiał sobie incognito *Nagi Lunch* na wyrostku cyberrobaczkowym, rozkurczającym się w tłumie kliknięć. A dostępny był na stronie, która gościła raporty ze wzruszeń i zwierzenia nastolatków, pragnących dostąpić tego lub tamtego, mniej lub bardziej doskonale prowizorycznego kawałka dżumy. Strona nadal świetnie prosperuje i do tej pory ugości każdego, komu zachciało się pozezować, zaciągnąć języka, zerkając, jak stoi obecnie młodzieżowość pod względem „brania” dosłownie wszystkiego, czym idzie się „zadzumić”.

Miedzy innymi takie rzeczy się teraz czyta, wędrują między sobą łypnięcia i bokami się majtają, wyrastają z wtórnego luzu kusych majteczek i urastają w orkiestracje, smykowe jazdy, a nuż ktoś zdoła się pocieszyć najcudowniejszymi wpisami na forach.

Ale pacanie, którego imają się klik-czacz, satysfakcjonuje wyrostki do czasu.

Tymczasem wyparowało owo tłumaczenie, o którym jest mowa, spolszczenie *Nagiego Lunchu* już nie zwisa w dżungli zwierzeń (lipa i klonowy nochal nawijają chórkami: przyfrunęłam teraz z Dubaju, nie mówcie mi, co tam robiłam [chlip-chlip, ale fajnie! Gall Anonim będzie wściekły]).

„Widocznie to już takie czasy nam nastały, kiedy to ludność własną wolność osobistą utożsamia z możliwością nieprzerwanego mówienia. / Polecam parokrotną lekturę tego zdania” – w takiej oto formule 1, koziółkującej bez opamiętania między Pacanowem a niewcześnie radosną prędkością własną, zawarł sytuację „po przełomie” kronikarz polskiej kontrkultury lat 80., Jacek Kryszkowski. I zszedł. Był artystą-wojazerem niedocieczonych wymiarów godności, który nie upuścił ani rąbka woli, wypracowanej na kanwie przenikliwego spojrzenia, przy czym patrzył jakby tryskał zawsze zza grobowej deski (a teraz, kiedy go nie ma od dawna, to już w ogóle, rozsadza nas ciągłość tak konsekwentnych patrzalek) i aby nic z tego, co pragnął pochować, nie opuściło jego świadomości, pozostawił po sobie niewiele ponad to, że był. I zszedł, zawarł powieki. A zaraz za nim epokowa rżesa zaklinowała naduszono-

ny guzik i tylko rozdziawia się bardziej i tentegować będzie, pozbawiać moc jej źródłowego adresu, jakiś tam facecik Auto-Fokus.

„Po przełomie” mówimy my! I tyle? To świetnie, bo w świetle incognitowymka z *Nagiego Lunchu*, możemy wreszcie, z sumieniem otwartym głęboko jak bazooko-podobna rura, westchnąć niczym budka telefoniczna wciągnięta w przełyk swojej automatycznej sekretarki, a westchnąć tubalnie: ale z nas są agenci!

Jacek Kryszkowski był nieoficjalnym uczniem Andrzeja Partuma. Analogicznie nieoficjalnym można być członkiem założonego przez własną paplaninę, studenckiego bractwa, korporacji spod znaku niczyjego autoramentu lub niczyjej czaszki, wywleczonej, powiedzmy, na drugą stronę, rozwałkowanej i gwarantującej widzenie wszystkiego naraz, plackiem. I tu miejsce zwierzenia: jestem nieoficjalnym członkiem zakolegowanym na cacy przez moją paplaninę. Zaciągnąłem się, ponieważ wgapiam się w potężne czworoboczne plecy (nie liczę „Arysty”) powieści Miecysława Piotrowskiego, a szanse na oddanie sprawiedliwości temu plecowemu niebotykowi, pohukanie w cieniu łopatek przekopujących się do przepelnionej sednem piersi, czy chociażby jedno kłapnięcie, pukające do tych pleców z odpowiednio czarłą stulą wypuszczoną z ust, upatruję w recepcie podanej przez Burroughsa.

Uwaga: aby halucynować o przełomach, na jakie pisarstwo Piotrowskiego wynosi odbiorcze szanse i pianie odbiorczych pieśni („geniuszu, geniuszu, przede mną się nie ukryjesz!”), będę gadać o sobie i wykorzystywać innych. Będę wykorzystywać innych. Stąd Kryszkowski (żeby po drugiej stronie czaszki powitać nieziemską godność). A teraz Partum.

„W tobie jest moje szczęście, że mnie jeszcze nie znasz” – transparent o takiej właśnie treści wywiesił Andrzej Partum w ramach swojego przyuczania do „pozytywnego nihilizmu”. I co chciałbym powiedzieć? Że „pozytywny nihilizm” mógłby się stać przeciwużęciem tego, który nas obecnie wodzi (za dym wypuszczany z czachy na spacer). Gdyby jego „pozytywność” trafiła dalej niż karawan z trumną Partuma. Ów nihilizm mógłby zdrowo namieszać w kielbasiarstwie, które nas obecnie urządza na modłę *impry* (jednokopytnie wołanej: *hulajcieciapiieklozipie*). Mógłby poprzemieniać druciki, czy chrząstki brylujące u takich jednych, którym w głowach brzęczy tylko egoidalna meteo-pytia i przeświadczenie, że egopodobność zawsze będzie za nimi szalała i będzie się za nich, o nich ścigać. Ci biorą wszystko (co puka im flecikiem w nos i za oczy wiśla!). „Gdzie się kończy taniec a zaczyna tancerz” doskonale wiedzą, bo przecież są jedynym tancerzem. (Jak reaguje taniec? wierszykiem: facecikowie, tak patrzycie / że rozmnażacie się przez wygląd).

A co „pozytywny nihilizm”? Wpija się w nieprzekładalność i niepowtarzalność jednostki istnienia, przy czym chłopce wciąż i wciąż nic-nowość. Zamiast człowiekowatego grosika w nowiu, moc niczego, nie-nów w pełni. Odrzuca zapychacze, którymi jednostkowość dorabia do swoich dóbr sobolalia, sobie wsobnych goryli, mających ją ochraniać przed nicością, jaka wdziera się do trwania – patrzy się mu z każdym ruchem wiorst zbliżających godność do kurarowego czubka – żeby przypominać: nie dozdziesz się wdzięczności i ujdzie ci to płazem, a ja przestanę do ciebie wpadać dopiero wtedy, kiedy na dobre się spotkamy, u naszego wspólnego kumpla, któremu na imię Nicnieznaczę. I wszyscy wszystkich będą tak wołać razem.

Tu: KONIEC (i już nie ma końca, bo sam koniec zaskakuje od środka, ale o tym później, a teraz niekończące się napisy końcowe).

Zawsze wykorzystuję Kryszkowskiego i Partuma. Ich niezłomność. Po takim wyznaniu przyszedł czas na pierwszy greps odnośnie umiejscowienia Piotrowskiego pośród książek. Oto on: żywa mowa nie istnieje!

Tłumy duchów kładą się nam na ustach, wargi wybrzuszają się pod presją, duchy je pompują. Może w końcu powiemy sobie, że nie zagrzejemy między nimi miejsca. Tam już są wszyscy, jest komplet. Nawet pomiędzy naszymi wargami.

„W tobie jest moje szczęście, że mnie jeszcze nie znasz”, Mieczysławie Piotrowski! Gdybyś mnie znał w tej 1 chwili, najpewniej pokazywałbyś mi drzwi, a ja próbowałbym wyjść przez Twoje plecy.

Dzianina haecceitas tó deinótaton (ducho-sza! mówi ducho-botox)

Nie wchodząc w drogę ich sumiennemu wywyższaniu się, na napisach końcowych wyjeżdża ze *Złotego robaka* następujący fragment: „W godzinach wieczornych bulwarem kursował tłumek tragarzy portowych. O plecach oczywistych jak stół. Siła pleców wyrastała im już z gęstego tyłka. Tyłek falował radośnie. Kursował też tłumek innych wycirusów. I kolorowych dziewcząt”.

Jak rzeczą potworną okazać się może pokoleniowość zawiadująca wynikaniem, tak – i tak się raczej nie przestanie dziać – dla niektórych przerażająco mogą się jawić książki. Bo na co one czekają? Aż ktoś poślini palec, przewróci stroniczkę lub zagnie jej róg i chluśnie gorącą krwią? Biblio-cierpliwość nie czeka na swojego Godarda, kiedy nas czeka nasza własna *Pogarda*, odtwarzana każdemu na własność przez jego osobisty los (wtem: plwocina Bogarta opuszcza Casablancę i spotyka się z jego szarą – po wszystkim czas – twarzą juchą).

Jeżeli prawdą jest, że *God-art* (sztuka Boga) zagląda z nieba na Ziemię w absolutnych ciemnościach (a tak chce teologia negatywna, bliższa „pozytywnemu nihilizmowi” niż nasza budowa nam), spełnienia życzeń tej sztuki doczeka się tylko „noc duszy”, a w takim świetle nikt nie będzie się zabierał do czytania.

Trudno o przesmyk gotowy na przekłnięcie całościowego obrazu, jaki zawiera gruba książka. Gdy grubieją informacje z zakresu umasowienia, ze wszech stron opatulające percepcję, kulturalnie rozpasane odpowiednio do ssawkowatego przetwarzania się po brzuchu, spomiędzy nóg pomiędzy piersi. Informacje masujące się zgodnie z apetytem lub wolą Tego, którego żywi pochłanianie utrudzonych sobą (wobec innych) istnień. Którego najwyraźniej bawi to, jak ciało głupieje trapięone plastycznością ciała. Dlatego informacje skaczą między mózgami jak w jelitach i załatwiają mózg, który sam sobie przypomina trzewia. Brzuszydło wyprowadzające na jogging robaczkowy głos sumienia, bo grunt to mięsień. Taki podkład, ciągły jak bombowa mordoklejka, bierze wszystkich do środka fantazji o wolności mordowania. Gdzie zabijać może dosłownie każdy. Więc każdemu kibicuje Ten, który pragnie mieć ludzkie mięso wszędzie, tony ludzkiego mięsa zawieszone na swoim głosie, kiedy śpiewa nam ciągle ten sam przebój, w niedającym się pojąć języku, o doszczętnie roztkliwiającej melodii, której nie da się powtórzyć, która jednak nieustająco przypomina coś niedocieczzonego, a znanego najlepiej na świecie, co chciałoby się ciągle zachwalać i chwalić się znajomością tego, sięgającą tak daleko, że nie sposób wydusić z siebie nic ponad gromkie westchnienie: ale to jest genialne, ale z nas są agenci!

Taki Ktoś jeden, rajcujący się swoim trwaniem przy pochłanianiu mnożących się istnień i sprowadzaniu ich do jednego, może przeoczyć, że: „Tyłek falował radośnie. Kursował też tłumek innych wycirusów. I kolorowych dziewcząt. W masie i mroku wyglądały, lecz spojrzeć sztuka po sztuce, żadna nie była do przyjęcia, a spojrzeć jeszcze bliżej, każda była straszna, zaprawiona rozmiękłym, mydlanym wiatrem i farbą do prania. Ale z daleka, znów w masie, stanowiły rój falujących maków

w mglistym polu. Usianym latarniami o porcelanowych, klinicznych kloszach, perforujących czarne niebo, głuche jak spód osmolonego garnka”.

Ktoś taki jeden może nawet nie odnotował obecności Filipa Małachowskiego, bohatera *Złotego robaka*, którego dryg do wnikania w głąb sytuacyjnej maszynerii niesie nas i buja, aż roztrzęsieni przelatujemy przez sam środek jego samobójstwa, przechodzimy przez roztrzaskaną czaszkę, żeby móc pozostać w *Złotym robaku* na dłużej. Czytać dalej i dłużej, niż „nocy duszy” zajmuje trawienie nas. Jeżeli powieść nie kończy się wraz z nadejściem nieuchronnego, poszkodowany jest jeden. To ten, który żywi się śmiercią.

Pobądź teraz przez 1 chwilę tym, pod pokładem którego dzieją się niestworzone rzeczy, i powiedz, proszę, czyjego ducha nigdy nie spotkasz!

A więc tak, cała chemia pochodzi z sumy naszych mózgów, podobno w rozwój mózgu wpisane jest pacanie, gubienie ewolucyjnych zdobyczy, dążenie do pochłaniającego go bez reszty juwenalnego rozciapania; ja jestem olbrzymią puchą przeznaczoną na sztuczny śmiech prosto spod bilionowego mięśnia, świadomością w sprayu, która płynie was popsikać; nie spotkam ducha autora albumu rysunków satyrycznych pt. *Co my wiemy o ludziach?*, chyba że w ciągu czterech sekund zawrę moc wydarzeń i solenność wszystkich charakterów, w jakie obfitują jego powieści. Wtedy, być może, zakłęte w tej prozie *haecceitas* Mieczysława Piotrowskiego pocznie się ulatniać, ja to pochwycę sonarem, a wy zrobicie mi zdjęcie. I gotowe! Duch będzie pochłonięty naszym jego spotkaniem.

Och, jakże fachowo następują po sobie pokolenia, wtrącając w oczywistość unurzane w atramencie twarze swoich poprzedników, w ciemnościach zagęszczonych żrenicami kleją sobie z lat świetlnych najoryginalniejszy na świecie odbiorczy geniusz: ja sam inspiruję się Bogiem, tym, jak i czym nas odbiera, zanim Mu się oddamy.

Dramatyzowane sprawozdanie z epoki własnego Ja – ostatnia trajektoria na drodze do odwetu? Przeczuwanie klimatu, łapanie cząsteczek psi za gwizdek i chodu: pokazać wszystkim, że wyprzedziłem swoje inspiracje. Partum próbował prze-gnać instytucję inspirowania się daleko poza granice swojego trwania w ciągłym akcie. I na polu takiego zaprzeczenia zaprezentował, u którego końca kwiatków wy-rastamy z gęby – my, jacyś tam ludzie. Parający się wyzyskiwaniem.

Złotego robaka wieńczy rozdział pod tytułem *Czy na ziemi istnieje życie?* Trafiliśmy tu, gdzie to pytanie się odbija, po przebyciu jakichś 150 stron wydeptanych gołą śmiercią Filipa Małachowskiego. Jego samobójstwo nie jest żadną tajemnicą, zasygnalizowane już w samym otwarciu książki, nie budzi wątpliwości, a jednak: czy wryło się w naszą pamięć?

Czy rejestrujemy w ogóle śmierć, której doskonale się spodziewamy? Czy rozpatrujemy koleje wystrzału i tor kuli, wchodząc do gabinetu, by wraz z Angeliką, żoną Filipa, przejść przez roztrzaskaną czaszkę, zaraz po tym, jak Paweł, wychowywany przez nich wspólnie, wyznaje niechybnie gotowemu do startu delikwentowi, że nie jest jego synem (ach, wy, pokolenia, radźcie sobie same!)? Czy nie dławimy się raczej ostatnią intrygą Małachowskiego, drugim pistoletem (pierwszy zabezpieczyła Angelika), chowanym do pary, jak u prawdziwego kowboja (ojciec Filipa również „musiał” się zastrzelić, stąd drugi egzemplarz broni, po jednym na jedną głowę ojca); czy zamiast przeżywać trupa, nie przeżywamy z nim inscenizacji, która poprzedza moment, gdy strzela do siebie dysponent uroków, oddających więcej z życia, niż życie ma do zaoferowania, bo dopiero umarły wchodzi głęboko w życie,

eksponując aktorstwo pomysłowe, oddziela je od aktorstwa złego, obdziobującego nas, na pastwę gotowcom, nie mogącym się doczekać, gotowcom całym w kotłach; czy zamiast śmiercią, nie dławimy się raczej tą ruiną, która nie mieści się w roztrzaskanej czaszce: syn, który go nie cierpiał, nie jest jego synem, lecz synem bandyty, na którego moda przyszła wtedy, kiedy Filip wyszedł z mody... bo coś takiego się okazuje (tytuł rozdziału: *Boże wszechmocny, co zrobić z ojcem?*); oj, przedziwnie kamufluje się egzystencjalny wyłom pod melodramatycznym spiętrzeniem; Paweł pokazał nam już wcześniej kawał przyszłości, która nastąpiła daleko po pogrzebie jego przyszywanego ojca, a zaraz po tej ceremonii przenosimy się do części książki opisującej początki sławy Filipa, jaką zdobywał w kręgach fartowniejszych estetów, nihilistycznych jokerów i diabolicznych panien, do którego to towarzystwa – pograżywszy jego ojca w całkowitej niesławie – aspirować zaczęła nastoletnia trzpiotka, wywołana jakby, w dużo wcześniejszej i ukradkowej partii powieści, przez Benedykta Wereszczyńskiego; ach, ten Benedykt, co my się z nim mamy! Ta jego Teoria! mózg rozkochany w konfidenckalnej poczwarkowatości własnej, wcielona płochliwość, łąsa na zwalistość wyczerpującego temat koncepciku; jako staruszek, w zetknięciu z dorosłym Pawłem, wywijając maszynopisem życiowego dzieła, Teorii właśnie, *Teorii i Anty-Teorii Zbrodni Naśladownictwa*, okazuje się czystej próby prowokatorem, a czy to nie on udawał na samym początku zidiociałego głuchoniemego?

„Był krępy, niewielkiego wzrostu, miał dużą głowę, zbyt dużą, wśród dużych jeszcze nadnaturalnych rozmiarów, i wielkie, blade papierowe uszy. Wiedział, że jeśli źródło światła będzie miał za sobą, w małżowinie ukaże się niejasny różowy obłoczek. Po raz pierwszy powiedziała mu o tym pewna ośmioletnia dziewczynka. W rok później dowiedział się, że umarła”!?

Pracował na nasypie kolejowym; dyskutował z anarchistą Hieronimem; zadurzył się w mijającej go na ulicy Filigranowej i przyjął z tej okazji cios w zęby; próbując wykaraskać się z upokorzenia, poznaje Filipa, staje się jego stalkerem, a my od tej pory podążamy za dwiema już głowami, z czego jedna improwizuje na nieznaną, transową modłę, a ustawia wszystkie inne w szyku i choć lata owiana aurą nasyconą szalem, żywsza niż niejeden czytelnik, zdaje się być pozbawiona wnętrza, prowadzi w głąb, pomiędzy palmy odbijające znaczniejszym gościom renomowanych lokali, zawsze w połowie drogi między błagą i honorowym jedynym wyjściem, chociaż ozlaczająca intrygą napotkane wargi i tokująca wartko wprost w podobniejsze im robaki, jest głową Filipa, roztrzaskaną, przechodnią czaszką, tymczasem „za dużą głową” człowieczka, który się toczy w tle, pociąga za sznurki swoim fatalnym rezonem, tak więc cało pozostaje wszystka głowa, której zaczyna się dobrze pozować w rękach konfidenckalnych smrodków; a jednak to Filip, zachowuje kształt, zadając sobie śmierć, która nie kończy powieści, lecz odkrywa jego ojca, przenosi nas w pisklęcy puch rujnujący człowieka; koniec powieści wypada gdzieś w środku książki, kiedy Paweł zmagą się z Herodkiem i jego córką, rozpuszczającymi wici, że umarł, przychodzi do niego ksiądz, pragnący skorzystać z tej famy, ale wyłazi mu podwiązka spod sutanny? Paweł policzkuje dziewczynkę, a ten cios i fama wracają do niego rykoszetem, kiedy Herodka już dawno nie ma, a córka jest dojrzałą dziewczyną; czy to jest koniec?

Już na pierwszej stronie spotykamy się z uwodzicielskim duchem, z informacją poprzez którą spogląda na nas zza grobu, wiemy, co czeka jego fikcyjne ciało, wchodzimy w tę śmierć jak w maślane oczy, ale co się stanie z nami, co zrobimy z prawdziwym duchem, zaklętym tam, w którymś zdaniu na pewno, tylko w którym?, czy nic nie zagrazi jego wolności, kiedy książka się skończy? (nas już w niej

nie ma, a od kiedy jesteśmy rodną ekipą?); co zrobić z tymi pytaniami?, wysłać je pomiędzy niezbyt dalekie sąsiadki (światerek w niechęci ciąg bliższy), pomiędzy chwałę i chwilę? Nie, bo nie zagabuję o swoje pytania, tylko o te dwa tytuły rozdziałów, tytuł rozdziału, w którym Filip strzela sobie w głowę i tytuł rozdziału, który wieńczy *Złotego robaka*.

Zrozumiemy się dobrze, ta śmierć jest naszą śmiercią. Rozgrywa się poza sceną, za zamkniętymi drzwiami, więc chociaż nie patrzymy na nią, należy do „czasu widzów”. Właśnie dlatego, że jej nie mamy przed oczami, jest prawdziwsza (nie zmyślam, Jan Kott wykazuje to na starożytnych inscenizacjach).

A więc mamy ją już za sobą, a dalej przeżywamy przygody i jest doniośle, póki czytamy. Teraz książka leży obok mnie, a te wszystkie rzeczy nadal dzieją się w środku (przed chwilą sprawdzałem). I to jest dopiero komputer!, znaczy trwanie. A nie, że zaraz się do mnie dobierze Ten jeden taki, który uwielbia pochłaniać jednostki. *Boże wszechmocny, co zrobić z ojcem?*

Tata Filipa (rodzaj szlachetnego papcia) nie przystawał do ludzi, z którymi Filip igrał. Ech, pokoleniowość! Ewidentnie leci z nami w kulki i to na autopilocie, strzela sobie w głowę kulą ziemską. My stajemy się tymi ludźmi.

Czy na ziemi istnieje życie?

Styl to kotlet, do którego gram Hamleta i rozpatruję: kotlet nie ma mojej czaszki? kogo zatem się pytam o bycie, skoro odpowiedź padnie skądinąd, a będzie brzmiała jak przeciągła bezmyślność, na końcu której się jarzy: nie być, nie być wcale, ale myśleć, myśleć uczuciowo, acz konstrukcyjnie, ze zrozumieniem dla tego, czego nie ma! Lub przynajmniej dla tego, co nie ma mnie.

Aż po lewy rad, na prawo dziwo

Z konstruktorskimi pozdrowieniami z zaświatów ślać pomysł na niebycie. Poza ciągle niedostatki ekwiwalencji, nie oddzielając wybuchu beczek z piramidalnie ludzką twarzą, od słodkiej miotły, której nie ma za co chwycić. Sama słodycz.

W *Tęczy grawitacji* Thomasa Pynchona, podobnie jak u Piotrowskiego, pojawia się multum bohaterów, którzy układają się w kłęby, a wszyscy czekają na wybuch (czy ułożą go z nich samych ich rozrywkowe mózgowcaszki?). *Tęcza grawitacji* wyszła w Stanach Zjednoczonych w 1973 roku, pięć lat po *Złotym robaku*. Znaleźć w niej można uderzająco zbieżną obfitość dziwnych spotkań. A także przeczytać wiersz Emily Dickinson opowiadający o rujnowaniu.

Czytamy tam, że człowieka rujnuje się stopniowo, nie od razu ryje twarzą w glebie, wprawdzie musi upaść na kolana. To człowiek, a wici? Wici, te nasze aparaty ruchowe, wracają z kolan rozpuszczone na kolanach. Czy Pynchon słyszał o Piotrowskim? Zapytajmy go.

Dwa lata przed ukazaniem się w Polskiej Republice Ludowej przygód Benedykta Wereszczyńskiego, w 1966 roku, w USA, wychodzi *49 idzie pod młotek*. Powieść znacznie skromniej zbudowana niż debiut Pynchona, znaczy V., istna epopeja pt. V., która przebywa szlaki stulecia, opisując poszukiwania symbolicznej matki wieku XX, nb. ukrywającej się pod tytułowym ptaszkiem.

Chociaż druga książka Amerykanina, chociażby za sprawą swojej objętości, sprawia wrażenie utworu o lżejszym kalibrze, jest pozycją kluczową w jego dorobku. Pozorna lekkość opowieści kryje gorzkie rozpoznania. To w tej powieści najbardziej czytelnie uwypukla się podstawowy temat twórczości Pynchona. Entropia poznawcza. Główna bohaterka, Edypa Maas, prowadzi prywatne śledztwo sprowokowane

przez śmierć przyjaciela, który zostawił jej w spadku swoje skomplikowane sprawy finansowe. Trafia na trop firmy Trystero (połączenie magicznych mocy Prospera i wręczających w rozkład sił smutku) oraz tajnego systemu pocztowego ŚMIETNIK. Im więcej odkrywa, tym bardziej napędza wszechogarniającą strukturę. I mnożą się pulchniutki, bachiczne tajemnice. Na jednej z północnych ścian Pałacu Kultury ktoś wyrzył miedziakiem swoiste graffiti: „Edypa jest boska”.

Im więcej wie, tym więcej złego może się zdarzyć.

Dlaczego Mieczysław Piotrowski tak komplikował układy zdarzeń w swoich powieściach?

Urodził się tylko cztery lata wcześniej niż Burroughs, który uważał, że słowa przeskadzają obrazom się nasycić, że pisanie jest praktyką magiczną, ale wywodzi się od rysowania i do rysowania powinno się skłaniać.

Ale Piotrowski! Ma się rozumieć, że on. Miał cztery lata, kiedy wybuchła I wojna światowa (a Burroughs zero lat). Rysował, zanim został pisarzem, mógł z nim chodzić ulicą Roentgena jeszcze jakiś Dodo.

Filip Małachowski nie stracił czarę, ale skończyła się jego passa. Ile musiał wypić piw przez całą powieść, żeby móc nas olśnić rozpiętością swoich ramion? Żeby móc zabrać rodzinę na obiecywaną od dawna (a co to znaczy w tej powieści?) wycieczkę (*Wycieczka* – poprzedzający *Boże wszechmocny, co zrobić z ojcem?* rozdział, w którym Angelika prawdopodobnie pragnęła pozostać i pewnie dlatego zabezpieczyła pistolet), wypił chyba dwa piwa, potem rozebrał się do naga, wszedł do opuszczonego, upiornego domu i grał na fortepianie.

Wcześniej Filip trwa w ruinie, ale skacze do wody, żeby ratować tonące dziecko karlicy. Zdarzeniem tym Paweł jest sparaliżowany. Tymczasem Benedykt, który nigdy nie zdobyłby się na podobny skok, szczytuje, staje się sławnym poetą. A przynajmniej sam przed sobą może się za takiego uważać. To jest haecceitas Filipa, to dzianie się, które może pochodzić tylko od niego. Haecceitas to to, że jesteśmy tym, a nie innym. Że nie zlewamy się z podobnymi sobie, na modłę zasady identyczności. Hassan Ibn Sabbah głosił: „nic nie jest prawdą, wszystko jest dozwolone”. A powtarzał za nim Burroughs. Członkowie żydowskiej sekty Sabbataja Cwi wołali: „bądź pozdrowion Boże, który zezwalasz na to, co zakazane”. Ja ryczę za Janem Kottem: „»Deiną« to cud i »dziwo«. Człowiek jest tó deinótaton: najdziwniejszy, inny, obcy we wszechświecie”.

W ujęciu postmodernistycznych prozaików Amerykę odkrywa prywatny detektyw. Czy Piotrowski mógłby zostać postmodernistycznym prozaikiem? A czy na ziemi istnieje życie? Piotrowski jest XIX-wiecznym Nowym Jorkiem wpływającym do Wisły na pokładzie statku Batory, który rozplątuje bijącego serduszkiem w tam-tamy chemikaliowca, zdezorientowanego, z ładunkiem lewego radu, z namazanym na burcie graffiti: „rad jestem, że w skali promieniotwórczości spółkowanie odpowiada stu bananom”.

Haecceitas Piotrowskiego to tryliony bilionów gigabanów. Tymczasem Benedykt! Jest tó deinótaton! O takich, jak on, Pynchon pisze dopiero teraz (*Bleeding edge* sprzed dwóch lat).

Ale może przesadzam, bo pisze o „zemście frajerów” (oczywiście na mięśniakach), o członkach mimikry rozbuchania sprzężonych ze wzniecającymi chaos maniami konserwatystów, współpracujących z wymyślonymi przez siebie, sztucznymi kosmitami (upodobanie postmodernistów do unaoczniania poznawczej entropii wyraża podobno utajoną wiarę, że świat zmierza na nowo do pierwotnego chaosu, z którego się wyłonił). W Benedykcie drzemią pokłady przetransportowanej na dwudziesty

wiek dostojewszczyzny. Ale ta jego Teoria i to jego tryumfowanie, kiedy Filip trwa zrujnowany! I mamy od razu dziś dzień, za frajer nosimy tajniaków na barana.

Teoria Zbrodni Naśladowania to pewnie w większym stopniu powinowata *Notatek z podziemia*, niż użyźniających biesy tajnych prospektów. Bo taki już z Benedykta konfidenccjonalny typ. Ale też i pojemna hybryda uniżoności, reakcyjności, a zarazem zaciekłości podbitej niejasnymi resentymentami. Osacza ślad i dowodzi swego, aż inni odpadną. Dostojewski zaznaczał w przypisie do *Notatek*, że daje się wygadać narratorowi, ponieważ ludzie o tak skontrolowanym ego odchodzą do lamusa (miał zapewne na myśli skapcaniałych, wyalienowanych romantyków). Tymczasem Benedykt.

Ale żywy Benedykt, wcale nie skapcaniał. Demoniczny, snujący Teorię. A wedle niej: słaby łąnie do silnego, żeby naśladować go, naśladowując niszczyć, docelowo pochłoniąć, przerosnąć, ale w istocie osłabiać przez samo kopiowanie, odbieranie jedyności (zemsta frajerów!). Tak, jak artysta imitujący naturę pragnie zabić ją, żeby jego obraz olśniewał bardziej niż widok, który przedstawia (zemsta frajerów!), tak słaby chce przytulić się do silnego (Boże!). Piękno boli, bo jest prawdziwym kosmitą. Czy jakoś tak. A czym jest „złoty robak”? Tym, że po Benedyckie przypełzną następni konfidenccjonalni, karbowani od nadziei złej i dopakowani życiodajną pretensją? Czarzaści jak rosochate Lolitki w zakresie bulwiastego antyseksapilu?

Może niekoniecznie. W rozdziale *Złoty robak* (a są dwa takie rozdziały) czytamy: „(...) zabawa, śmiech, głupie szczęście, jakie daje trawa i śmiejący się ludzie, z nami jest ktoś, lecz nikt nie zdaje sobie z tego sprawy, wszyscy są pewni, że są tylko oni. Śmiech i zabawa są nasze, zupełnie zwyczajne, nie ma w tym nic do zastanowienia, wszystko jest słuszne, tak jak my wszyscy mamy jednakową rację, o której się nie mówi. Ktoś odchodzi. (...) Po odeszłym zostaje odcisk butów na zgniecionej trawie. (...) Gdzie on jest, gdzie nas nie ma i dlaczego teraz nie ma nas tutaj? Dlaczego egoistycznie ukrócił naszą zabawę? Dlaczego on wyznacza nam czas i dlaczego nie chciał się nam poddać? Dlaczego nie został? My byśmy też chcieli się nie poddawać.

To miejsce, gdzie on jest, teraz jest niedostępne. On umyślnie wybrał to miejsce, bo tam się mieści tylko on jeden. Tam są inni i on poszedł do nich. (...) Jak złoty robak idzie daleką ścieżką i zaraz nam zniknie z niewidzących oczu. (...) Nie będziemy już widzieć złotego robaka. Zaczynamy go kochać. W naszych myślach. Jest ich za mało. Sprzedajemy wszystko, co najdroższe, zastawiamy u wszarza. Łachmaniarz brudnymi palcami obmacuje nasz honor i godność, dostajemy w zamian chitynę, gasimy mózg i patrząc w złoty piasek ruszamy po ścieżce w jego drogę”.

Żywa mowa nie istnieje. Jedynym żywym motorkiem, który napędza nagrywanie interesu, jest zemsta. Andy Warhol kupił magnetofon, nagrywał osobowe flamingi, znajomków, którzy w ogóle nie sypiali, wydał książkę z transkrypcjami, nagrywał na automatycznej sekretarce siebie i rozmowy telefoniczne z koleżanką, wydał książkę z transkrypcjami. Żywa mowa nie istnieje. Czy ktoś wydał powieść przepisaną z nagranych przemówień towarzysza Goździka?

Jest 56 rok. Tłumy skandują: Wiesław, Wiesław! Ale nieco wcześniej musi mieć miejsce bardziej gabinetowa scena. Cyrankiewicz rzucił na biurko, przed Rokosowskiego, telegramy z opisem pozycji wojsk Układu, a w twarz mu wypalił: „Bierz władzę, kurwo”. Jakby jeden telegram powiedział drugiemu na głos coś podobnego.

Robotnicy dobijają się oddolnie o posłuch dla zakładowych Rad. Zabarykadowani na wyższych szczeblach towarzysze czują się zakładnikami sztywnej mątwy?

Na włosku wisi kwestia, czy do zgromadzonych nie polecą kule. W Warszawie październikowe ożywienie wisi na głosie towarzysza Goździka, reprezentującego Partię w FSO. Ludzie chcą, żeby to on mówił. Natężenie wydarzeniowej ciągłości jest olbrzymie. Zdania wypowiedziane głośno witają się z głowami, poprzez uwagę wyrażającymi gotowość. Każda wypowiedź majduje przy konsolecie u dramatycznie bezwzględnej maszynierii, wpływa na konstelacje zapalonych diod, naduszonych guzików, przekreślonych gałek. Pomiędzy wystąpieniami twarz Goździka spoczywa przyklejona do blatu biurka. Czy się jeszcze podniesie? Ktoś podchodzi, rzuca towarzyszowi do ucha: już. Goździk wzbija się jak poruszony sprężyną i mówi do ludzi. A oni, słuchając, powierzają mu swój wspólny los („tak jak my wszyscy mamy jednakową rację, o której się nie mówi”). Czy żywa mowa istnieje?

Na dwa miesiące przed październikiem (druk ukończono w sierpniu) z drukarni Domu Słowa Polskiego wyjeżdża nakład *Ogrodników*. Ale żeby mógł się ukazać prozatorski debiut późniejszego autora *Szarego uszka* (na którego okładce spotkamy zadaną do telefonu kwestię: „czy to jest opowieść obrazkowa?”), potrzebne było dobre słowo Adolfa Rudnickiego. Podobno redaktorzy Czytelnika nie potrafili się ustosunkować do twórczości literackiej znanego już im skądinąd rysownika i dlatego poprosili o opinię doświadczonego pisarza. Lecz nie do końca skądś inąd znali Piotrowskiego. Tak się składa, że to jego dane widniały pod adnotacją o treści „przerywniki rysował”, która znalazła się w *Szekspirze* Rudnickiego, wydanym trzy lata po zakończeniu wojny. W tym samym, 1948 roku, Piotrowski siedział w Łodzi i pisał *Ogrodników*.

Więc prawdopodobnie siedział i przerywniki rysował na zmianę z pisanem. *Szekspir* zawiera teksty sprawozdające wojenne koleje i tuż powojenne dole, ujęte z perspektywy pisarza. U Rudnickiego bardzo często wszystko dzieje się jak gdyby prezentowało się pod kątem tego, który to opisze, jak gdyby obyczajowość kształtowała się ze specjalną dedykacją dla pisarza i śledziła go. Nasze rzęsy, skoro opadły, powinny uprawiać pisarstwo.

Różnie z tym bywa. Pan Adolf (czy ktoś zwracał się do niego per Dodo?) pisał dużo (i dużo było zawsze u niego pisarza), a jeszcze więcej wydawał. Ta specyficzna potencja odznaczała się w rozwarstwiających tytułach (*Pyl miłosny*, *Dzoker Pana Boga*, *Izabella pełna pcheł*, *Pałeczka czyli każdemu to, na czym mu mniej zależy*, *Raz jeszcze ustąpiłem sobie*, *Moja czarna broda*).

Szekspir przynosi pierwszą próbę serii opisującej *Epokę pieców*. I choć na pierwszym miejscu daje się tu odczuć obecność pisarza, to przeważa nad tym opis zapadających się ludzkich ruin, wkraczanie w okres przeznaczony nie pozostawiającym śladu widmom. Wszystko, co znane, zapada się pod ziemię. Każdy może zaraz zniknąć, bez szansy na jakiegokolwiek wskrzeszenie. I nic nie rokuje zmiany, znikąd nie wychyli się choćby ździebko gwarancji. Najzwyczajniej w świecie: bezpieczeństwo to przeszłość. A jednak perspektywę pisarza cechuje pewna stałość. Jak gdyby przechadzał się z plakietką: „dam świadectwo”. A elegancja, z jaką spoglądał, chroniła go przed jego własnym trupem, raz czyhającym w błocie, raz w atamentowych bryzgach.

Szekspira wieńczy *Szekspir*. A *Szekspira* wieńczy rysunkowy „przerywnik” autorstwa Piotrowskiego: popiersie Szekspira na cokole, u nasady którego wyryty krąg lub rozdziawione „O”, pośród wychudzonych i skarłałych drzewek, właściwie patyków, gubiących czarne liście.

Na stronie tytułowej tego ostatniego, tytułowego opowiadania tomu: zameczek? warowne miasteczko?, z czapeczkami na wieżyczkach i wyrastającymi ponad wie-

życzki, sownie kopającymi kominami, a na pierwszym planie otwarte okno i bukiet kwiatów na parapecie, w wazonie?

Teraz powinienem zapytać, czy ja dobrze widzę i czy mogę cokolwiek dobrze czytać, jeżeli źle widzę rysunki. Czy zapytam? (W innym miejscu taki „przerywnik”: rozmawiają ze sobą chudzi panowie przy stoliku na kawiarnianej scenie, w tle pusta widownia, a same – pogrążone w rozmowie – głowy przysłania kurtyna; skąd wiem, że coś mówią? jednemu ręka wędruje do ust i naddatkowo je, przepierzone, kryje).

Żeby było zadość, opowiadanie *Szekspir* opowiada o atmosferze pisarskiego świata, o kolonii pisarzy w powojennej Łodzi. Teraz jestem pełzającą jętką, której całe życie świta w kuluarach, ktoś, otwierając drzwi, tłucze na korytarzu żarówkę i widzi, że nikogo nie ma. Rudnicki mógł być obecny przy powstawaniu *Ogrodników*, może nawet w jakiś sposób sprowokował ich powstanie, a siedem lat później (w 55 r.) został poproszony o recenzję wydawniczą.

Nie mam *Ogrodników*. Exemplum plum-plum ex: boję się, co będzie z moimi egzemplarzami książek Piotrowskiego, kiedy mnie zabraknie (a może one nie są wcale moje?).

Wszem i owszem od tyłu na zawsze, raczkując, zezwala na to, co zakazane i odmachuje

Narrator opowiadania *Szekspir* upaja się straceńczą aurą domów... zaludnionych przez pisarzy: „Mówią, że te domy to stojąca woda, żadnego ruchu, żadnego życia i za lat kilka (jeśli nie będzie zmian) skończymy w sanatoriach. Niech głupcy mówią co chcą, a niech mówią. Nareszcie staliśmy się modni”.

Chwilę wcześniej taki „przerywnik”: czysta kartka wkręcona w maszynę do pisania, a nad nią, jak gdyby zza chmury, wisi gałązka, u góry sucha jak dłoń kostuchy, w dół, do klawiszy, ściągają ją dwa rzędy czarnych liści, jakby rzęsy albo ciemne palce.

Dlaczego „przerywniki rysunkowe” książki przekazującej to, co wojna zostawia z humanizmu, owiane się aurą ilustracji zapamiętanych z najukochańszej lektury naszego dzieciństwa?

Narrator dostrzega w kawiarni sylwetkę człowieka, który swoją postawą wyznaczył mu za młodu matrycę zachowań pisarza, stając się jego osobistym „Szekspirem”: „Uosabiał w mych oczach cud literatury, jak girlsa świat pokus w oczach nauczyciela z Biebrzy”.

„Choroba literatury wcześniej nawiedza tych, których nieznane nam siły upatrują na to, by wypowiadały swe środowisko” – stwierdza narrator, pisarz Rudnickiego. A rozmyśla sobie tak, będąc całkiem blisko 38-letniego Piotrowskiego, piszącego *Ogrodników*. Piszącego z poduczenia swojego bycia fascynującym, pełnym sprzeczności, rysunkowym człowiekiem, którego nie widać, słowem: rysownikiem?

Okres PRL-u ustawiał literata w pozycji figury kluczowej dla percypowania stosunków władzy.

Ach, ten strach przed tym, co pisane! Zaraz po wojnie głowa pisarza pacała o blat biurka, jak gdyby mogła kipieć naręczami złotych kielbas. Pisarzom oddawano miasta. A zaraz po październiku 56, po wyniesieniu Gomułki do władzy, towarzysz Goździk rozbija samochód, który pożyczył z zakładu, prosto z taśmy produkcyjnej. I, takim pretekstem potraktowany, dowiaduje się, jak wciągającym zajęciem dla niektórych może się okazać temperowanie ludzi.

Ukrywa się nad morzem pod postacią „indywidualnego poławiacza”. Ogląda telewizję. Wcale nie prometeo TV. W latach 60. Andy Warhol chodzi wszędzie ze swoim magnetofonem i nagrywa, żeby dziś, za sprawą wielbicieli tzw. conceptualnego pisanie, chodziło za nim określenie „nieoryginalny geniusz”. Jego sława posłużyła wszystkiemu, co w Nowym Jorku uchodziło za awangardowe. „Awangardowe” było sexy, skorzystać mógł na tym taki Sukenick, czy Walter Abish. Zadowoleni podobno, że pisarz wreszcie stał się jednym z nas – odbiorców, czyli ludzi (dziwakiem, jednak jak wszyscy, najdziwniejszym). Kiedy skorzysta Piotrowski? „No jakże, tam panie Wesołowski, przyjedzie ktoś czy nie przyjedzie?”

Przepraszam, rozmarzyłem się, podobnie jak narrator *Szekspira*. Dostrzegając swojego „Szekspira”, wraca myślami do swoich drapieżnych, przedwojennych zachowań na niwie literackiej.

W czasach tych wystąpień, przednich rozrywek dostarczały, wedle jego opisu, najróżniejsze spory. Dlatego, co tydzień, przedstawiciele zwaśnionych środowisk ogłaszali w gazetach jakąś nowość, hasłem wywoławczym znamionującym kontrowersyjną rewelacją było: „po raz pierwszy”. „W każdy wtorek zaczyna się u nas w każdej dziedzinie od Adama. (...) Ta nędza narodowa dostarcza najcudowniejszych wzruszeń jednostkom”.

„Pajdokracja jest starczą chorobą tego kraju”.

Kiedy narrator wydaje swoją pierwszą książkę, słyszy od bliskich: „Czy chcesz być wygnanym ze wszystkich światów?” – na co jego głos wewnętrzny odpowiada – „A ja nigdy bardziej nie czułem świata. Przed i po moim nazwisku czytałem codziennie *po raz pierwszy*. Jak grób w kwiaty strojono mnie w nadzieje. Stawiano na mnie”.

Czy są pośród nas jacyś przedwojenni pisarze? Bo czuję się jakbyśmy wszyscy nimi byli.

„O, mieliśmy ton! Sam Szekspir nie mógłby mieć lepszego tonu. Lepszego fasonu nie mógłby mieć sam Szekspir (...)”.

I choć tak świetnie „im” szło, nie podzielał tego zdania „Szekspir”. Pisarz, którego postawa napromieniowała narratora za młodu, wskazując na cudowność stanu bycia pisarzem, zaczął mu się jawić jako jego osobisty adwersarz. Tym samym przekreślił siebie, nie poznawszy się na geniuszu swojego niegdyśszego wyznawcy. Narrator odnosił wrażenie, że nie jest wcale czytany przez dawnego mistrza. I obraziło go to na wylot.

Ale teraz jest już inny czas, wojna przeobraziła perspektywę. Narratora przede wszystkim dziwi, że widzi „Szekspira” żywego. Następnie dziwi się, usłyszawszy od niego, że ten podziwiał zawsze jego pisarstwo: „Byłem zdania, że należę do tych psiarzy, których wrażliwość zabija, bo jest to wrażliwość bez siły, sama pajęczynka, sama koronka, nic kompaktne, nic z ziemi, a bez ziemi nawet kartofel się nie urodzi. Biada wrażliwościom bez siły”.

Narrator, jak widać, przez wojenne lata zdążył zmienić zdanie o swoim fasonie, ale widzi za tym podupadłość chodzącą pod powłoką swojego wzorca, wzorcowego pisarza. Nie potrafi przekazać „Szekspirovi”, że, choć funkcjonuje jako persona niechciana, jest personą niezbędną: „Straciliśmy pisarza, pisarz stracił siebie”. Już nikt „nie spulchni łąz postaci wyszarpiętych z głębi w męce – już nigdy nie policzonej”.

Na miejsce „Szekspira” przychodzi Piotrowski. Rysownik, który zostaje pisarzem. Wrażliwość z siłą przerastającą czas. Wrażliwość nakłaniająca czas, by rósł

do środka powieści. A tam czyha zakłęty dżin, który nie da się wycyckać obrazom, bo zna ich godność i pokazuje im głębszą.

(Drżą obrazki, roztrząsają plazmę i cyckają siebie, a czas się kręci, jak globus w domu z kartofla).

W rysunkach Piotrowskiego roi się od facecików. Jeden patrzy na mnie teraz, jego pierś od frontu wygląda jak bok samochodu. Lewy obojczyk to rozdziawiony robaczek. Serca brak. Ale dumy z pewnością mu nie brakuje (*vanitas* może być tłumaczone jako: próżność dymiąca w „powietrznym przedsięwzięciu”? nie wiem, być może). Twarz myśląca. Wielka, prostokątna głowa, obudowana kołpakiem, ale prześwituje. W niej: durszlak? wiatraczek? chorągiewka? dwa kowadełka? jakieś takie aparaty. I co robią: podbijają swoimi obrotami kostkę w kratkę? Rysunek się nazywa: *Cztery zakresy, obudowa z plastiku: mężczyzna*.

Co my wiemy o ludziach? to album rysunkowy, ale Piotrowski przedstawił w nim również próbki swojej literatury. Widzimy dwóch faciów (czy na pewno to my widzimy? tak). Elegancyści panowie o pękatych klatkach piersiowych, w szelkach i spodniach podchodzących pod bryczesy. Ale zaraz! Jeden (zaczęsan) podnosi rączki w geście typu *jejku-jejku*. Bo drugi (w binoklach, z wąsikami typu *Dodo*) przypiął w jego pasie swoją szelkę i napina ją prawicą, zasłaniając przy tym usta, lewą dłoń opiera o zadek. Dodatkowy problem to to, że oni stoją tyłem, a ich głowy i ręce zachowują się jakby to był przód. Podpis pod rysunkiem: – *Proszę mnie nie podtrzymywać, dam sobie radę*. A poniżej znajduje się jeszcze taki wypis: „Lęk budzą nieraz ludzie, którzy są najzupełniej w porządku, lecz których dawka gotowości przekracza o jeden milimetr. Który jest to milimetr?”.

Podejrzewam, że ten, o którym umarli mówią, że ma plecy jak chiński mur.

Kiedy tylko się spostrzegłem, że Adolf Rudnicki napisał książkę pt. *Sto lat temu umarł Dostojewski*, zapragnąłem zerknąć do niej, żeby się rozeznać, jak żyją ci, którzy „biorą” dosłownie wszystko, czym idzie się „zadźmić”. Nie opuszczał mnie ten tytuł, więc poszedłem do niego. Uważam ciągle, że wywołał we mnie zamierzony efekt. Ufam, że Pan Adolf byłby ze mnie dumny.

To widzenie zanim się zobaczy!

I przeciągłość owego stanu. Że nie będzie w ogóle widać, do czego piję zapowietrzonymi patrzalkami, bo najpewniej chybiłbym, gdyby się pojawiło, ale samo moje wypatrywanie sprawia, że niczego temu nie brakuje. Idę. To nie przyjdzie, tego najpewniej nie ma, ale niczego temu nie brakuje. Sekundy to zmyłka, naśladownictwo też. Oczywiście są. Jednak pierwsze rozczapierzają się w podziemne a radosne przestworza, wizjonerskie trwanie pod płaszczykiem Dike. A drugie: trochę popada w chmurne Hybris, a trochę jednak we współczucie, w to nasze współczucie zdradliwe jak pogoda. A trochę oddałoby życie, żeby zabić kogoś równie realistycznego jak ono samo – całe to naśladownictwo. Na takie bocianie gniazdo wychodzę, szukając miotły, i niechcący widzę wybuch, który brzmi jak ziewnięcie, przechodzące w chichot. Inaczej z plecami. Plecy są, jak najbardziej, przechodzące w okładkowy płaszcz.

Tak więc idę właśnie do *Sto lat temu umarł Dostojewski*, żeby się rozejrzeć. Czy Rudnicki nie łączy tam „czterech sekund” z „sekundami” Kiriłłowa z *Biesów*.

Z epileptycznymi euforiami. Z żyłkowaniem liścia, który spada mu na twarz, żeby przez hybrydę podnieconego patrzenia i skomplikowania najdrobniejszego pyłku, prześwitowała nicość, jak nigdy radosna, bo do wszystkiego zawsze dopasowana. Więc także do powziętego przez Kiriłłowa postanowienia i ponad miarę satysfakcjonującego trwania przy tym, co jest istną prowokacją. Że zabije się i zabijając się udowodni, że jego bycia i niebycia nie dzieli żaden dystans. Że nawet jemu nie robi różnicy, czy będzie, czy go już nie ma.

Tak więc idę teraz do *Sto lat temu umarł Dostojewski*, żeby sprawdzić, czy znaję tam cośkolwiek na temat charakterów stworzonych przez Piotrowskiego. Bo przydałby się wyraz odpowiedni dla Sędziego z *Plecami przy ścianie*. Sędzia może nawet ważyć sto kilo, a i tak pozostanie wymuskaną protezą. Aż się zabije. To taki Liebiadkin Sofcik? Nie bardzo. Nie ma tak dobrze. Liebiadkin, rozwarty kiedy knuje, rozkleja się w roli Falstaffa. A Sędzia to Sofcik i płacziwa falbanka, za którą czeka Prawo. A ci agenci? Ojciec i córka w przyciemnianych okularach (wariantowanie Herodka i jego „małej”?). Gdzie są te wszystkie okrutne dziewczynki!

Rudnicki pisał o *Ogrodnikach*: „Największej intensywności książka nabiera wówczas, gdy pojawiają się kobiety”.

Chcę przeczytać *Sto lat temu umarł Dostojewski*. Bo to bardzo późna książka autora *Szczurów*. I ten tytuł! Idę do niego. Im Rudnicki starszy, tym mroczniejszy. Mniej pisarz, a więcej gnomiczny lapiduch. I drastyczny nieco. Któremu zależli już za skórę faceciowie. Och, potworność międzypokoleniowych gier. Opisuje to opowiadanie *Dialog dwu pokoleń*, pochodzące z *Tekstów małych i mniejszych*. Książki, która przynajmniej parokrotnie nasuwa skojarzenie z Piotrowskim. Pierwsze za sprawą okładki: pole w kształcie jakiegoś organu wewnętrznego, podzielone różnymi zasiewami, u góry kratkowane, niżej pionowe paski przeplatane z cętkami, na polu coś, jakby nutka, poniżej kostka do gry, a pod kostką biegnie dróżka, zamieniając się w zwykły zygzak, ponad pole wyrasta olbrzymia i uproszczona członkowskość, pionowa bryła z lewitującą głową, jakby połączenie komina, wydłużonego wzwyż okna i litery „i”. Coś niecoś falliczne. A jest to rysunek Piotrowskiego. W *Dialogu dwu pokoleń* młody dziennikarz przepytuje pisarza i koniecznie musi wiedzieć, nad czym nowym pracuje. W końcu zostaje zmłócony ciupagą, ale mało się zraża:

„– A wszystko, zgnilku, co było, znasz? (...)”

– I co nowego, mistrzuniu? (...) Czy sądzisz, iż kogokolwiek obchodzi coś, co było? We wszystkim, co było, nie ma już ani gniewu, ani zawziętości, ani grzechu, nie ma życia, to – g u m a”.

A teraz każda 1 chwilka przewala Glob z boku na bok, bo jej aparycja liczbą u-botów i ukazań przekracza jego wyporność. Nagusieńka rola chwilki ustawia nas w pogardliwej z nią relacji, bo strasznie się pcha i chwali walorami, żeby zagłuszyć swoje miejsce w kolejce. Trudno się połapać, ale mam tu pewność: aktorstwo Filipa Małachowskiego jest lepsze od aktorstwa chwilki, bo jego rolą jest nieistniejąca dotąd sytuacja. Kiedy wstępuje Filip, kolejka znika i zamienia się w kołowrotową karawanę, która formuje tyralierę, szeroką jak jego ramiona.

Idę do *Sto lat temu umarł Dostojewski* i głowie się, dlaczego autor *Niskiego ptaka* dedykował „Irenie i Mieczysławowi Piotrowskim” *Narzeczonego Beaty* (pan Kalman zakochuje się w Beacie, a ona bierze ślub z mistrzem pływackim, Michałem Muchomorem; pan Kalman co roku przeżywa żalobę po Beacie, utrzymując, że ona utonęła), nie *Pikulinę* (czternastoletnia Irminia, w samych spodniach, nawiedza w nocy dozorcę, żeby wymusić na nim reakcję w związku z próbą uprowadzenia pikulinisty... dozorca zaczyna ją uwodzić, choć ona mu zarzuca: „(...) w głowie pańskiej żyją tylko ciuchy, jak najwięcej ciuchów, milion ciuchów, ma pan fioła na ich punkcie” itd.).

„Nóż – niestety – pojawia się wiele razy. To nie wina autora, to prawda polskiego życia.” – pisze Rudnicki o *Ogrodnikach* w 55 roku. Rok wcześniej Tyrmand czepia się do niego, że narzeka na biedę, a wszędzie jeździ taksówkami. Modny Lolo próbuje pochwalić Pana Adolfa, ale wychodzi mu wahlwie: „mówi na ogół wolno

i mądrze skłania się ku różnorakim, lecz ogólnym mistycyzmom, wierzy w uczucia, nazywa je »żywym mięsem życia«. Ma przyjemne ambicje towarzyskie, lubi otaczać się warszawską złotą młodzieżą, której psychikę bada wnikliwie, przepada za ładnymi dziewczętami, aczkolwiek daleki jest od erotomaństwa”.

Czytam *Sto lat temu umarł Dostojewski* i nie mogę się nadziwić. Ale nie znajduję nic o Piotrowskim. Za to notatki o XX-wiecznych kwestiach seksapilu, odbitych od brodatego spojrzenia posłanego z XIX wieku.

„Delikatność i szarość – oto co kocha Piotrowski, który wie, że musi nastąpić moment, gdy szarość zacznie błyszczeć, a kiedy to nastąpi, żaden kolor nie dorówna jej! Piotrowski jak ognia boi się wszelkiej jaskrawości, krzyku, pedału, ale mimo to pedału nie udaje mu się uniknąć. Jest nim jego uczuciowość. Obłożona lodem, hamowana, przeciska się tym gwałtowniej” – tyle Rudnickiego z 55 roku. Sfotografowałem komórką ilustracje do *Szekspira*.

Teraz wsadzę je palcem do środka głowy. Tylko potrzebuję jenów i zobaczyć komputer, bo czy Piotrowski widział komputer? Czy słyszał nawoływania Chińczyków, przyjmujących zakłady o to, kto szybciej umieści w ciele motorynkę o baku pełnym maku i złotych układów scalonych? oraz zakłady o to, kto szybciej orzeknie z całą pewnością, czy nieznajomy, który właśnie wkracza, jest bardzo fajny?

Zamiast całości *Sto lat temu umarł Dostojewski* przeczytałem napisane w 1948 roku opowiadanie Tadeusza Borowskiego pt. *Telegram*. Zaraz po wojnie japoński naukowiec otrzymuje Nobla. Chwilę wcześniej pracował nad własną bombą atomową, którą miałby się posłużyć kraj kwitnącej wiśni. Uprzedzili go jego amerykańscy koledzy. I to pośród nich modne stają się krawaty z wizerunkiem atomowego grzyba.

Kurnik pełen gapiów, przeniesionych w czasie – tylko w którą stronę? – do komórki obryzanej żółcią słodką jak kogel-mogel.

Cztery sekundy czytałem po raz drugi, kiedy mieszkalem na plaży w chatce z bambusa, z wbitym w ryj oceanem. Byłem na niego obrażony (za ten ryj), ale też pełen podziwu dla jego brudnej inteligencji. Ciemne cielsko swoim chrobotem przejawiało ciągłość ruchu w interesie. Właśnie inteligencję. Ten ocean. Przejawiał. Podobnie jak dwie małpy, które spotkałem. Jedna miała fryzurę *na pieczarkę*. Nieustanna, kosmata ruchliwość, nieobliczalne ucieleśnianie inteligencji. Dałem im banana. Jednego. Przez 1 chwilę ja trzymałem za koniec, a małpa z pieczarką na głowie za drugi. Koniec banana. Potem mnie przepędziła. Śmiałem się gromko, ale byłem przerażony.

A ocean robił zrobione z inteligencji chórki: *Parszywka, Parszywka, Parszywka*. Głównie ją pamiętam z ówczesnej lektury (z pierwszej: ostateczne czyszczenie gwizdka).

„Parszywka może tęsknić (...) Parszywka ma przy sobie różne przybory i kiedy je wyklada, jeden po drugim, w mózgu robi się mdło, roztapiają się myśli, roztapiają się myśli i najprędzej wyskoczyłyby z omdlenia na powietrze. Ale nie ma już jasnego powietrza. Parszywka zdążyła udowodnić, że mieszka w nim i że jest w nas samych”.

Zrobiłem jedno zdjęcie w *Balladzie o dentyście*. Dłoń, a w dłoni pilot do otwierania domu.

Chłopiec, który opowiada całą tę historię, pyta w którymś momencie: „Co sam, proszę pana?”.

Jest to dla mnie bardzo ważne pytanie. Ważni są też zagraniczni pasażerowie samolotu, którzy podczas podróży czytają prospekty z polskimi produktami spożywk-

czymi. I głodny kucharz ze statku Batory. Ale najważniejsze jest oprzyrządowanie do sterowania miastem. Guziki, które naciska się po omacku, intuicyjnie, a wszystko chodzi jak w zegarku. Nawet karambole.

Chłopiec kończy tak: „Sam nie wiem, może by mi ktoś starszy wyjaśnił, czy pudełko, które otwiera drzwi, jest w ogóle możliwe?”.

Pudełko po prostu walczy o przetrwanie (facecikowie, tak patrzycie, / że rozmnażanie się przez wygląd).

Judyta zabija się na końcu książki, ale przez całą, nieustannie zmieniając postać, jakoby dystrybuuje dowody na swoje nieistnienie (czy, jak mógł chcieć Andrzej Falkiewicz, dowodzi: dlaczego istnieje raczej nic niż coś). Jest i nie ma. Przygody wracają zawsze. W którymś momencie pojawia się obwieszczenie, że powieść przechodzi istotnie do trybu notatkowego, żeby móc później z niego wyjść. A czy to jest prawda? Judyta ma być (ma być) „erotyczną osobą”. Dziewczyną o przewadze „znaków męskich”. Która łączy się z chłopcem, „polityczną osobą”, o przewadze znaków żeńskich”. Te dwie mają się łączyć w jedną „osobę”. Judyta ma być „osobą”, która stanowi połowę „jednej osoby”. Ale stanowi połowę, której nie da się dalej rozpoławiać, kawalkować. Nie istnieje, a ma być, więc popełnia samobójstwo. Wchłania substancję do czyszczenia gwizdków. To cała para idzie w co?

Przed Marcem '68 (rok wydania *Złotego robaka*) wśród młodzieży w Polsce zdążyło rozpowszechnić się przekonanie, że politykę żywią „tematy z zaklętych kręgów sztywnej mowy”. Na zmianę zdania „dziwnym” młodzieniaszkom, uganiającym się za wszelkim potencjalnym seksapilem, pozwoliła prezentacja ulicznego wynalazku: gumowej pałki. W chlupocie pałowania, które spadło na inteligenckie trencze, niczym splukana deszczem, rozpuściła się na chwilę przystojniacka wrażeniowość. Istnieje zatem żywa mowa, która wszystko dzieli na razy?

Prawda jest najdziwniejszą, najnieparzystrzą połową (lemurest le cabaliste the oddest). Prawda jest połową, która nie daje się podzielić. Dziwi Prawa.

Lepiej się wychodzi na półprawdach. Ale połowa, należąca do prawdy, pozwala pochować się własnoręcznie. Ukryć się przed własną egopodobnością, która zabrania pochować się własnymi rękami, na bagnach pod własnymi włosami. Czy jakoś tak. Kamufluje się przed pochłaniającym wszystko obrazem. Apokalipsa to supeł zawieszony pośrodku „widzenia wszystkiego”. Pełna przejrzystość wychodzi na oczywistość i odsłania trzewia, zaciemniając tym samym równość najróżniejszych jedyńości. Jak tam, Panie Piotrowski, jak idzie chowanie „wszystkiego, co najdroższe” przed „wszarzem”, „tłustymi palcami łachmaniarza”, supłem, obrazem, który pochłonie każde odejście, chyba, że ono ma go głęboko w urodzie.

Uczuciowa myśl dysponująca taką urodą (nie poddająca się laskotliwie chłonnym zmorom, robaczkowym bobo-obrazkom, rozpełzającym się promieniotwórczo od centralnego węzła, ciepłowniczego supła, apokaliptycznego obrażalstwa) rozsmarowuje konkurencyjności jej plastyczny honor. To Judyta. A Benedykt Wereszczyński rewersem Judyty.

Facecik Benedykt, Benedykt Wereszczyński. Przechodzi przez lustro na stronę półprawd. Snuje teorię, czy opowiada o Teorii, to ma się liczyć. Koncepcik, w którym całość domknie swój zad. Choćby ponaglana widelkami, którym zwisa. Powierzana symbolicznemu łamaniu się z siłami jasności wyrastającymi ponad czas (a czas jest przecież już taki dorosły!), rzucona na pastwę półprawdom. Ciałość Mądra Lala.

Że na półprawdach lepiej się wyjdzie (kiedy już „przyszły” wiek wszystko pokaze), że daleko bardziej melodycznie będzie się wypadać, sugerował Dostojewski w *Biesach*. I rozchodzi się na cały świat, którym majtają ukąszeni klimatem este-

tyczni członkowie, melodia – pastuszka, pastuszka rozkładu. Półprawdziwa Melodyjka – kuku.

Co i rusz, każdy dostępuje wizji. Ale całe cackanie się z informacją, masowanie jej, to tylko półprawdziwe strojenie się w piórka tego, który wie, co robi śpiewka, kiedy dzioba nie ma w domu. Piórka lądują w rozmytych plamach, gdzie gubi się ich rachuba, podczas gdy liczy się sama możliwość wyboru iluminacji. Sama możliwość wyłonienia jakiejś iluminacji spośród gotowych propozycji, zasugerowanych przez małpę podskakującą za konsolętą. „Nic nie jest prawdziwe” – w szczególności całe to naśladowanie, „wszystko jest dozwolone” – w szczególności wertowanie opcji bycia wtajemniczonym w najnowsze hierarchie, parujące prosto w naszą wrodzoną świeżość. A co dzieje się, kiedy – żeby zachować swoją nieustanność jako bezcelowość – odbiera sobie życie ktoś, kogo nie ma?

Duch nie wychodzi. Na rysunku. Obrazkowi pełzającemu w opowieści, która domyka poszczególne losy. Póki nie streścimy, co dzieje się z bohaterami Piotrowskiego, nie ulotni się jego duch.

Podobno wszystkie dusze wyglądają identycznie, ale panuje w nich ciemność. Przy czym w każdej oświetlony jest jeden mały punkt. I różni je to światełko.

Może mają rację ci, którzy twierdzą, że nic nie znika wraz ze śmiercią, lecz kurczy się wszystko nieustannie, jak Sybilla, która pomniejsza się z czasem, maleje niebotycznie i nie wzbudza niczyjego zainteresowania, ale w końcu przychodzą maciupkie dzieci i ciekawią się, czego pragnie takie mikroskopijne żyjątko, a dla niej odpowiedź jest oczywista. Śmierć marzy.

Sztuka poważna nad życie: nie wytracać wdzięku, potrafić odejść w odpowiednim momencie i znaleźć zrozumienie u pozostałych. Płaszczyk Dike zachowa się inteligentnie w związku z każdą niepogodą, odpowie na cierpienie, odparuje kształtkom łapiącym za fraki. Podczas gdy Hybris zdąży się rozwydrzyć i naburmuszyć.

Przepraszam, że cię nie zrozumiałem. I ja przepraszam, że nie do końca cię zastrygowałem, palcem pokazując naszą sytuację. Palcem grając ją. Na wzór – podobnej szumowi morza, imitującemu samoloty – roli, jaką w *Ostatnim dniu lata* gra flet.

Pragną niesprawiedliwości. Kto? Przepraszamy. Jedno i drugie przepraszam.

I zwielokrotniają się. Będąc obrazami. Niewidocznymi, bo maciupkami. Ale takimi samymi jak biliony innych. Razem z nimi układającymi się w przypadkową piramidę, wyznaczającą hierarchię poziomu uwagi. Odwrócone „V” z palców, staje na własnych nogach (zamiast paznokci trzewiki) i zaraz łaskotanie jest grane w opuszkach, aż wyskakują z butów, a były świetnymi piętami.

Patrzmy poziomo, *ab ovo ad mala*. Wieczna kobiecość wykoślawia wzwyż i wciąż, a już uchodziliśmy płazem, żeby – niczym gąsienicowe lustro nasiąknięte skorupką – przebić horyzont, wpełzając na niego z refrenem: „wszyscy jajem poziomem z boku”.

I już zaraz bryluje się frędzlami, które nie chcą przestać się saczyć z posuwistych walców napędzanych kończynami. Frędzle jak u traperów!

Wołają kogoś ideogramami albo krzyczą na mnie, jakieś jakby jeny. A jak wyglądają jeny?

Wieloznaczość mego zdania to złudzenie. Nie będzie o człowiekowatości, to nie będzie coś. Co by się przedzierzgnąć. Jeny wypychać z powrotem do oczu.

Pomni będziemy licha, któremu z kolan na barana wskazujemy teraz, robić regularne patataj.

Jak się dziś, 1 chwilko, czujemy w obecności frazesu, który głosi, że każdy chce fajnie żyć i godnie?

Przepraszam Benedykta Wereszczyńskiego za wyciapaną charakterystykę, od której czuć kofnięciem, przypomina zanadto mnie, ten bohater, dlatego się z nim zderzyłem. A chciałem tylko zaznaczyć, że za jego sprawą widzi mi się zgarbiony od konfidencjonalności świat, który należy do istot ulepionych z cienia i okazjonalnych szmatek, słowem: do Lemurów, budowniczych grobu. Wobec fascynującego niebycia (cześć, bycio!), grzechem jest nie bycie fascynującym. Pobądźmy zatem szpiegami *niebiesiów* Dostojewskiego.

Demonizm półprawdziwego pogrążania się w swojej nieciekawości, w najmniej porywającym, własnym portrecie pamięciowym.

Proszę sobie wyobrazić, że książki Piotrowskiego zostają zeskanowane przez skórogłowych Indian w glanach, w džinsach i w USA. Trafiają do zasobów portalu ubu.com. Chociaż oddalone o te kilka liter w indeksie, wiszą obok słuchowiska Antonina Artauda, *Skończyć z sądem bożym*. Mogą być czytane po cichu, kiedy ono gra sobie. Napromieniowywane wydobywającymi się z głośniczków szczeknięciami, które opowiadają o konieczności wykrobania z ciała obrzydliwie malutkiego żyjątka, żywiącego się kawałkowaniem na wsobne organy. Ktoś czyta *Cztery sekundy*, a w tle leci coś o pożytkach płynących z dżumy (ropie, orgiastyczności).

Co my wiemy o ludziach? Że mogą się przez nas lub nas przez siebie popieścić.

I właśnie teraz płynie do Maputo chemikaliowiec z ładunkiem mięsa japiszonów w sprayu, a pod jego pokładem siedzi majtek i czyta powieści na swojej wielkiej komórce. Czyta trochę Piotrowskiego. Ale co tam widzi. Szpieczy tacy jak miliony innych szpiegów. Śledzą się miliony, żeby móc nie wiedzieć, kto kogo śledzi. Najpierw słabszy bierze słabszego i wykańcza, bo ten mógł go pierwszy zauważyć, potem drapie się w głowę. Ale głowa łaskocze palce.

Dotykasz czegoś po omacku i okazuje się, że nie może być nic lepszego. To jest powieść Piotrowskiego. A nic lepszego nie ma, bo jej bohaterowie nie mogą istnieć. Widzisz kogoś, kto pamięta ciągle każdego kogo spotkał, kogo kiedykolwiek minął lub z czym zarysem czy mignięciem się połączył, choćby z oddali. Czegoś takiego już nie będzie.

Andrzej Szpindler (ur. w 1985 r. w Warszawie) – wydał m.in. *King Kong, a co? Nic, rozległe pole bobu i jego mięsopust prawy* (2007), *μοφα μαμα αρχη* (2010), *Oko chce bardziej, niż chce tego wątroba* (2010).